

## CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½; na Szpital Dziecinny.— Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.— Adres Redakeyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

### Ziarnka moralności.



Marynia mieszkła na wsi, latem tylko wyjeżdżała zwykle z matką na wieś, na kilka tygodni. Raz zaprosiła je do siebie wujenka, niemłoda bez-

dzienna wdowa, której Marynia przedtem prawie nie znała. Jak wszystkie dzieci miejskie, dziewczynka, dostawszy się na wieś, z nadzwyczajném zajęciem oglądała ogród i całe gospodarstwo; wujenka, zawołana i bardzo czynna gospodyni, pozwalała jęj towarzyszyć sobie wszędzie, do spiżarni, do kuchni, do mleczarni i do gumien. Matka, cierpiąca na nogi, nie mogła chodzić z niemi, ale Marynia wieczorem opowiadała jęj wszystko, co widziała; zaraz też na drugi dzień, kiedy już poszły do swojego sypialnego pokoju i nikt ich nie mógł słyszeć, przyznała się mamie, że jęj się wujenka nie bardzo podobała.

— Taka skąpa, taka nudziarka—mówiła Marynia—wczoraj Franka, dziewczka kuchenna, wywróciła dzieżkę z mlekiem, pewnie nie chcący; tak ją wujenka zfukała, jak gdyby to mleko nie wiem ile było warte. Później znów w spiżarni kucharka trochę za dużo masła i cukru nabrała do leguminy; warto było widzieć, z jaką miną wujenka odebrała i masło i cukier, odważyła na wadze tyle, ile było potrzeba, a w końcu powiedziała sucho: „Janowa nawykła do zbytków, a ja tego nie lubię.“

— Ale cóż w tém złego—odrzekła matka—że wujenka jest oszczędna?

— Nie oszczędna, ale skąpa i chciwa, mateczko—mówiła dalej Marynia—wujenka nie jest wprawdzie bogata, ale nie ma dzieci, cóż dla nięj znaczy dzieżka mleka, albo odrobina cukru?

— Moja Maryniu—powiedziała matka—za mało znasz wujenkę, żebyś mogła sądzić o nięj wydawać. Poczekaj, a może zmienisz przekonanie. Ja znów nie widzę w tém nic złego, że ktoś nie jest rozrzutny i marnotrawny.

— A ja wiem—mówiła Marynia kręcąc główką—że nigdy nie będę mogła wujenki pokochać, bo nie jest dobra.



Minęło dni kilka i znowu Marynia pewnego wieczora, pozostawszy sama z matką, zaczęła z nią rozmawiać o przygodach dnia tego.

— O, mamó—rzekła dziewczynka—jak ja się omyliłam; myślałam, że wujenka nie-dobra, że jęj nigdy nie pokocham, a ona bardzo, bardzo jest dobra i kocham ją z całego serca. Dziś zobaczyłam przez okno, jak wychodziła za bramę, niosąc duży koszyk zamknięty w ręku. Ja wybiegłam, dogoniłam ją i zapytałam, czy mogę z nią pójść. Zrazu zdawało mi się, że nie bardzo była temu rada, ale po chwili powiedziała: „Chodź, jeśli chcesz.“ Poszłyśmy na wieś; wujenka najprzód zbliżyła się do jednej chaty bardzo ubogiej i nędznej, dwie małe dziewczynki nadbiegły i zaczęły ją po rękach całować, potem radośnie wołały, wbiegając do chaty: Pani idzie, babciu! Pani nam coś przyniosła!—Z chaty wyszła zgarbiona staruszka i także z radością widoczną witała wujenkę, która tak łaskawie, tak serdecznie z nią mówiła, że mi się w tej chwili wydała zupełnie jakaś inna. Zaczęła też z kosza dobywać rozmaite rzeczy, cukier, herbatę, bułki, bulion; pytała się, czy Franka przynosi im codziennie mleko ze dworu i czy im jeszcze czego nie potrzeba, a staruszka ciągle powtarzała:—A czegoż nam już potrzeba? pani taka dobra, taka dobra, o wszystkiem pamięta. Poszłyśmy dalej, a wujenka wstępowała do wielu chat i wszędzie zostawiała jakiś datek, lekarstwa, cukier, pieniądze, i pytała się, czy Franka to lub owo przyniosła. O! dziś rozdała z dziesięć razy tyle cukru, ile to wtenczas odebrała kucharce, kiedym ja ją za to skąpą i nie-dobrą nazwała. A jak ją wszędzie błogosławili; jedna kobieta, wynędziała po ciężkiej chorobie, mówiła do mnie, kiedy wujenka odeszła, a ja na chwilę zostałam w tyle: „Oj, panienko, jużbym ja dawno była na cmentarzu, żeby nie nasza pani. O, takiej dobrej pani niema pewnie drugiej na całym świecie“—a mnie, mateczko, tak się wstyd zrobiło, tak przykro, że ja się na wujence nie poznałam.

— Nic to dziwnego, moje dziecko—rzekła matka—nie łatwo jest poznać ludzi; ale pamiętaj to sobie na całe życie, że przedewszy-

stkiem na uczynki zważać należy, ażeby się w sądzie nie pomylić i dobrze się nad tem zastanowić, czy te uczynki są pożyteczne, czy nie. To nie dosyć, że ktoś jest miły, przyjemny; nie możemy go nazwać dobrym dla tego, że się nam podobał, jeżeli nie nigdy nie zrobił dobrego. Wujenka znów wydała ci się skąpa i chciwa, bo nie wiedziałaś o tem, że oszczędność w domowych wydatkach daje jęj możność wspomaganie ubogich. Zbawiciel uczy nas, że dobroć i złość poznaje się z uczynków i ich skutków, tak jak drzewo z owoców. *Bo nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani drzewo złe owoców dobrych.* I nasze własne uczynki powinniśmy tak samo oceniać; jeśli pożytek bliżnim przynoszą, a nam spokój sumienia i zadowolenie wewnętrzne zapewniają, możemy sobie powiedzieć, że są dobre. *Z owoców poznacie je.*

### KRZYŻYZECZEK MATECZKI.

Drogiój mateczki dar od kołyski  
Na piersi krzyżyzcekiem świeci;  
On w siebie bierze losów pociski,  
Słoneczkiem grzeje pierś dzieci.

Ze wszystkich skarbów, z wszystkich pamiątek,  
Krzyżyzeczka najpilniej strzeżem,  
Bo ocalony choć drobny szczątek,  
Zkuwa pierś dzieci puklerzem.

A w dni niedoli straszne, tułaczce,  
Gdy boleść w ogień przechodzi,  
Gdy rany piersi nie koją płacze,  
Krzyżyzeczek żary jęj chłodzi.

A w dni niedoli straszne, tułaczce,  
Gdy ciosy padają chmarą,  
Krzyżyzeczek spędza ciemne rozpaczce,  
Mateczki prośbą i wiarą.

*Stefan z Opatówka.*

# „To lepsze niż żywy obraz.”

G A W Ę D K A

o JANIE KOCHANOWSKIM.

(Dokończenie).

— Mój tatku, czy to Kochanowski nie miał więcej córek, tylko tę jedną Urszulkę?

— Owszem, mój synu, miał aż sześć córek, ale Urszulka, jedna z najmłodszych, za ledwie czteroletnia dziewczeczka, rokowała już wielkie nadzieje, była nad wiek roztrofną i rozumną dzieciną.

— Jakie ona ładne wierszyki składała — rzekła Wandzia — wszak to ona Zamojskiemu powiedziała, patrząc na jego strój bogaty:

„Pięknie, cudnie i bogato,  
Jak u nikogo na świecie;  
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,  
Dałbyś pewnie wszystko za to.”

— Któremu Zamojskiemu, czy to Janowi, który był kanclerzem za Stefana Batorego?

— A temu samemu, mój synu.

— Czyż Zamojski, taki hetman, kanclerz i wielki pan, przyjaźnił się z Kochanowskim?

— A cóż tobie, mój Kaziu, zdaje się, że Kochanowski nie był wielkim.

— Ależ ja wiem, Wandziu, że on był wielkim poetą, ale nie miał żadnego wysokiego urzędu przy dworze, więc nie wiedziałem, że się znał z takimi wielkimi panami.

— Nie miał wielkiego urzędu przy dworze, to prawda, mój synu, ale to dla tego, że go mieć nie chciał, bo kiedy miano go zrobić kasztelanem, podziękował, mówiąc: Nie chcę aby kasztelan roztrwonił to, co zebrał Kochanowski,“ a poprzestając na swojej fortunie, przyjmował nieraz u siebie wielkich panów i braci szlachtę i żył przystojnie, według zamożności, mawiając:

„Kto ma swego chleba,  
Ile człeku trzeba,

Może nie niedbać o wielkie dochody,

O wsi, o miasta, o wysokie grody.

To pan, zdaniem mojem,

Kto przestał na swoim:

Kto więcęć szuka, jawnie to znać daje,

Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje.”

— Wie tatko, że ja im więcęć słyszę o Kochanowskim, tém więcęć go lubię; bo to był i uczony, i poeta, i kochający ojciec, i taki spokojny, poprzestający na swoim obywatel. I jabym chciał być takim.

— Poetą i uczonym nie każdemu być dano, mój synu, ale uczciwym każdy być powinien. Cokolwiekbyś więc przedsięwziąłeś, zajmij się tém gorąco a pracowicie, spełnisz wtedy swój obowiązek i zasłużysz sobie na miano zacnego obywatela kraju. Przedewszystkiem jednak trzeba być przywiązanym do wiary przodków i ziemi rodzinną, i mieć zamiłowanie pracy, którą dla pożytku społeczeństwa podejmujemy. Kochanowski był takim obywatelem, bo pisząc myślał zawsze o kształceniu swych współziomków i o rozbudzeniu w nich zamiłowania do ojczyźnej mowy, a zachęcając przykładem do poprzestawiania na małym, zachęcał zarazem do spełniania obowiązków. Był on więc, jak to już powiedziałem, wzorem obywatela swojego wieku; a kraj nasz obywateli takich wtedy nie mało mógł naliczyć. I dla tego, że wówczas każdy, spełniając w cichości swój obowiązek, miał głównie na celu dobro ojczyzny, kraj wznosił się w potęgę i znaczenie, tak pod względem bogactwa, jako też pod względem nauki i oświaty. Wiek, w którym żył Kochanowski, to jest wiek XVI, nazywa się wiekiem złotym naszej literatury albo Zygmunto-wskim, bo panowali nam wtedy obadwaj Zygmunci po kolei, a zakończył go świetnie Stefan Batory.

— Ale, mój ojezulku, mnie to dziwi, że Kochanowski nie pisał nic o kraju, o jego przeszłości.

— Przeciwnie, moja córko; Kochanowski, jakkolwiek idąc śladem wszystkich ówczesnych poetów, brał sobie za wzór bohaterów starożytnych, rozumiał jednak potrze-



bę zwrócenia uwagi na przeszłość i początek narodu. Zaczął więc pisać prozą historią o Lechu i Czechu; praca ta jednak, jako pierwotna w tym kierunku, stoi niżej od innych prac jego. Prócz owój historyi o Lechu, napisał *Wróżki*, gdzie w rozmowach między plebanem a ziemianinem przepowiada ciężkie chwile dla kraju. Tak więc widzicie, moje dzieci, że Kochanowski, chociaż odsunął się od dworu, żył na wsi, w spokoju, pośród rodziny, ziemia jednak, na której się urodził i wychował, i wszystkie dotyczące jęj sprawy, niemało go obchodziły.

— Czy Kochanowski ciągle mieszkał w Czarnolesiu?

— Tak, mój synu, od chwili jak się ożenił, ciągle tam zamieszkiwał. Otoczony rodziną, prowadził życie spokojne i pracowite, a siadując pod lipą, gromadził córki około siebie i uczył je bardzo wielu rzeczy; opowiadał pismo święte, przeszłość kraju, uczył rozmaitych pieśni; a jako był wielkim poetą swojego wieku, tak w zaciszu domowem był dobrym ojcem i panem.

— To on zupełnie tak samo nauczał swoje dzieci, jak nas ojczulek—rzekła Wandzia i pocałowała ojca w rękę.

-- A gdzie pochowany Kochanowski, czy w Czarnolesiu?

— Nie, mój Kaziu, Kochanowski pochowany jest w Zwoleniu, także w Radomskim; wioska ta należała do jego rodziny i tam jest grób familijny Kochanowskich; umarł zaś w Lublinie, tknięty apopleksją r. 1584.

— Mój ojczulku, a czy on ma pomnik w Zwoleniu?

— Współcześni, moja córko, ocenili wielkie zasługi, jakie Kochanowski położył dla literatury i ojczystej mowy i obok familijnego, wystawili mu osobny pomnik, jako pocie.

— Czy też to ten Czarnylas i ta lipa, pod którą siadywał Kochanowski, istnieją jeszcze?

— Lipa, mój chłopcze, już dawno spróchniała; na jęj miejscu stoi kaplica, a wieś Czarnylas od dawna przeszła w inne zupełnie ręce. <sup>1)</sup>

— Jednakże jabym bardzo chciał widzieć takiego poetę, jak Kochanowski, tak na co dzień, nie wtedy, kiedy pisze wiersze, albo rozmawia z uczonymi, lecz wtedy, kiedy jest wśród rodziny, siedzi sobie pod lipą i tak oto z dziećmi rozmawia.

— To ci przyjdzie bardzo łatwo, mój Kaziu.

— Jakto, ojczulku, czy ojczulek ma taki obrazek?

— Nie obrazek, ale książkę, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową, w której opisuje życie domowe Jana z Czarnolesia.

— Ach, ojczulku, to i ja będę mogła zapewne czytać! a może tam znajdziemy co takiego, z czego będzie można ułożyć żywy obraz—rzekła Wandzia, którą myśl niespodzianki dla matki bezprzestannie zajmowała.

— Z ochotą, moje dzieci, dam wam tę książkę zaraz za powrotem i o obrazie pomyślimy. Ale oto jakiś posłaniec śpieszy ku nam.

— Ach! to telegram—zawołał Kazio, spojrzawszy na kopertę listu, który ojciec żywo rozpieczętował.

— Czy aby mama nie chora—dodała zatrwożona Wandzia.

— Nie, moja córko, mama zupełnie zdrowa; a co więcej, cieszcie się, moje dzieci, przyspiesza swój przyjazd i jutro ją powitamy.

Wandzia aż podskoczyła z radości, ucałowała ręce ojca, uściskała brata, wołając:

— Ach, jak to dobrze, jakażem ja szczęśliwa, że matunia już jutro przyjedzie!

— No, Wandziu, ale cóż z żywym obrazem?

— Ech, mój tatku, odłożymy go na później, ja teraz mogę tylko cieszyć się, że powitam kochaną matunię; całe pięć tygodni jęj nie widziałam!

— Ja jednak najwięcej skorzystałem z projektu Wandzi, bo ona tym swoim żywym obrazem wywołała opowiadania o Kochanowskim; to lepsze niż żywy obraz.

---

cie Kozienickim, gub. Radomskiej, Czarnylas należy obecnie do księżnej Jabłonowskiej, ma bardzo starannie utrzymany park, zarosły starymi lipami, ładny pałac i kapliczkę.

<sup>1)</sup> Zwoleń i Czarnylas leżą w dzisiejszym powie-

— Cieszę się, mój synu, że lubisz słuchać o ludziach, którzy zdolnością a pracą zasłużyli się krajowi, bo cię to zachęci do wstępowania w ich ślady.

I po tych słowach ojciec poszedł wydać rozkazy, aby wysłali konie na stacyą kolei żelaznej, a dzieci pobiegły żywo przez ogród do domu, ogłaszając wszystkim po drodze przybycie ukochanej matki.

*Z. Morawska.*

## Kilka obrazów z podróży

PO

### EGIPCIE.

Gdy Napoleon I przy końcu zeszłego stulecia (w r. 1799) przedsięwziął Egipt zająć, policzono ten zamiar do śmiałych, a nawet zuchwałych. Wielu uczonych towarzyszyło zdobywcy, bo Egipt był to kraj nieznan; nie rozumiano znaczenia jego olbrzymich pomników, nieprzeliczonych rysunków i znaków okrywających ich mury, a uczeni nie mogli bezkarnie w głąb kraju się zapuszczać.

Dziś, dzięki pracom tych uczonych i wielu innych późniejszych, dzieje starożytnych Egipcyan są nam niemal tak dokładnie znane, jak wypadki nowożytne, a podróż do Egiptu dla nikogo straszną nie jest. Mamy właśnie przed sobą opis podróży po Egipcie dwóch Angielek. Wyjechały one do Francji na początku Września, chcąc użyć łagodnego klimatu; ciągle deszczy je tam przesładowały, bez wahania postanowiły przeto szukać pogodniejszego nieba w Egipcie. Kolej żelazna przerzuciła je na brzeg morza Śródziemnego, statek parowy wysadził w porcie Aleksandryi i znowu para dowiozła je do Kairu, na wybrzeża Nilu.

## Kair i jego bazar.

„Kair, 300,000 mieszkańców, założone około 970 po Chrystusie przez Arabów, ognisko handlu między Egiptem, a południową Europą,“ czytaliśmy w przewodniku, jadąc ze stacyi kolei do hotelu i postanowiłyśmy na drugi dzień (bo już było późno) nie zwiedzać szczegółowo, tylko przechadzać się po mieście i uchwycić jego charakterystyczne rysy.

I dobrześmy zrobiły, bo to miasto wcale do naszych miast niepodobne, a ludzie do nas mniej jeszcze.

Tło obrazu bardzo jest malownicze. Domy wysokie a wąskie, górne piętra wystają nad dolnemi, a z ich ścian wysuwają się okna kraciaste, misternie toczone z ciemnego drewna, podobne do wielkich klatek. Długie deski i ogromne plecionki tworzą rodzaj dachów ponad ulicami, a promienie słońca, przedzierając się przez nie gdzieniegdzie, rzucają jasne smugi światła na ruchliwe tłumy. Po obu stronach niebrukowanych przejść, niby drożynek ciasnych, pełnych wybojów, dwa lub trzy razy na dzień obficie wodą zlewanych, ciągną się małe drewniane sklepiki, nakształt otwartych pokoików, wypełnionych półkami, w których kupcy siedzą ze skrzyżowanymi nogami wśród mienia swego, patrząc na przechodniów i pałac fajkę w milczeniu. Te szeregi nieprzeliczonych sklepów zowią bazarami. Pośród nich przepływa wciąż tłum, głośny, coraz nowszy, niespokojny, pstry, pół europejski, a pół wschodni, piesz, konno lub w powozach.

Tu idzie syryjski tłumacz w workowatych spodniach i tasiemkami wyszywaną kurtkę, bosi Fellach czyli wieśniak egipski, w podartą niebieską koszulę i mycie wełnianej na głowie; Grecy, w śmiesznie sztywnych białych tunikach, wyglądają jakby przechadzające się obcieraczki do piór; Persowie, w wysokich, do mitry podobnych czapkach z ciemnej tkaniny; oliwkowi Beduini w szerokich białych szatach w czekoladowe, na stopę szerokie pasy, z szalami tegoż koloru, uwiązane na głowie za pomocą sznurków z wielbłądziej sierści; Angliacy w kapeluszach z palmowych liści, jadąc na malutkich mu-



łach, długimi nogami sięgają prawie do ziemi, miejscowe kobiety z uboższych warstw ludności, w długich czarnych zasłonach, które pozostawiają tylko oczy odkryte, w długich powłoczystych sukniach z bawełnianej tkaniny w niebieskie i czarne pasy, derwisze <sup>1)</sup> w sukniach zszytych z różnorodnych łątek, z włosami spływającymi z pod dziwnych okryć głowy; Abissyńczycy czarni jak węgiel, o dziwnie cienkich, łukowatych nogach; duchowni armeńscy w długich czarnych szatach i czworograniastych czapkach; Arabowie w bieli, niby majestatyczne widziadła; Janczarowie <sup>2)</sup> na koniach z dzwoniącymi pałaszami i w kaftanach złotem szytych; kupcy, żebracy, żołnierze, wioślarze, rolnicy, rzemieślnicy, w najrozmaitszych strojach, o rozmaitej cerze, od jasnej do ciemnej, od śniadej do miedzianej, od ciemno-brązowej do kruczo-czarnej.

Ale wśród tej gwarnej i ruchliwej rzeszy, najbardziej malowniczo wyglądają egipcyscy, arabscy i tureccy kupcy, krążący wśród tłumu lub siedzący w swych sklepach. Noszą oni zwykle wielkie, białe turbany, długie do stóp sięgające kaftany z jedwabnej, syryjskiej tkaniny w pasy i wierzchnią szatę z sukna lub kaszmiru. Kaftan ściśnięty bogatym pasem, a wierzchnia suknia, pięknej choć niepewnej barwy, wpadającej w odcień jasno-żółty, oliwkowy, brzoskwiniowy, brunatny lub ciemno-wiśniowy. Dziwnym i niewłaściwym się zdaje, że te poważne istoty kupują i sprzedają, a nie spoczywają całe życie na bogatych kobiercach. Tu np. postać godna wielkiego wezyra, w pysznym kaftanie z atłasu białego i bursztynowego, raczy sprzedawać fajki—zwykłe, czerwone, gliniane fajki, wszelkiej miary i ceny. Inny, majestatyczny jak basza, sprzedaje naczynia miedziane i blaszane, kubki i miednice, tace, kadzielnice, fajerki i t. d. Trzeci ma tylko jedwabie i tkaniny złote, inny starą broń i porcelanę. Tu handlujący tytoniem siedzi za stołem tabaki, tak wielkim, jak on sam, a ówdzie gąbkarz pali z długiego cybucha, w altanie z gąbek ułożonej.

Ale najbardziej zajmujące są te bazyry, w których każdy przedmiot ma swoje osobne dzielnice. Przechodzisz przez starą kamienną bramę, lub zchodzisz z ciasnego zakrętu i znajdujesz się wśród osady siodlarzy, szyjących, przybijających, wiercących dziury. Przebiegasz dwie ulice wśród wystaw sklepowych, obwieszonych uprzążą zdobną w kutasy i siodłami wszelkiego kształtu i barwy. Parę kroków dalej, jesteś w bazarze obuwniczym i przechadzasz się wśród szeregów pantofli z czerwonego i złotego safianu, z których pierwsze są miejscowym wyrobem, drugie zaś pochodzą z Tunisu. Bazar kobierców zajmuje przestrzeń niemałą, a składa go sieć ulic i uliczek, wychodzących niedaleko meczetu; osobno jest dzielnica złotych i srebrnych wyrobów, które już nie są na widok publiczny wystawione. Przejścia tu są tak wąskie, że dwie osoby z trudnością obok siebie iść mogą, a sklepy wyglądają jak szafy na trzy stopy szerokie. W głębi każdej takiej szafy są szeregi szufladek i schowków, a u wejścia do niej jest rodzaj kamiennego stopnia, zwanego *mastabach*, który jest zarazem siedzeniem i skrzynią; kupujący siada na brzegu *mastabach*, kupiec siedzi skulony wewnątrz; może on, nie ruszając się z miejsca, wyciągać szufladki jedne po drugich, tak że wkrótce przestrzeń między nim a kupującym jest okryta ozdobami złotymi i srebrnymi. Niewyczerpaną jest cierpliwość i uprzejmość tych kupców; możesz cały sklep przerzucić, odchodzić i wracać, nie nie kupiwszy, a zawsze będziesz uśmiechem witany i żegnany.

Kair posiada wiele innych bazarów; są obszerne bazyry, w których sprzedają francuskie i angielskie wyroby, umyślnie do gustu tutejszych mieszkańców zastosowane. Spostrzegłyśmy np. muslin, bardzo tu poszukiwany na suknie dla dzieci, przedstawiający dziwny deseń, czarne, drobne, skaczące dyabełki na tle żółtym.

(d. c. n.)

A. Dzieduszycka.

<sup>1)</sup> Derwisz, mnich muzułmański.

<sup>2)</sup> Janczarowie, straż przyboczna króla Egiptu.

## PAMIĘTNIKI JASIA.

OGŁOSIŁ

**Piotr Jaksa Bykowski.***(Dalszy ciąg).*

Zrozumiał dziadzio tę ciekawość i wnet ją zadowolnił, mówiąc:

— Widzisz, chłopcze, Grześ taki pccziwy, iż zgodził się być towarzyszem naszćj nauki i pracy, poczynamy z Bogiem od dziś; otóż właśnie widzisz, cośmy rozpoczęli, a że ty już trochę dawniej to przechodziłeś, więc zajmijcie się tymczasem razem, bo ja tu mam inną robotę.

Po tych słowach dziadzio wyszedł. Ja zaś, że dawniej i więcej się uczyłem, zostałem niejako w ten sposób wyniesiony na wyższe stanowisko nauczyciela; rozumie się, że moję powadze lży nie przystały, zresztą nauczanie kogoś było dla mnie tak nowem, iż musiałem wyteżyć całą uwagę i mimowoli o ciągłym mym smutku zapomniałem. Grześ był chłopczyzną łagodny, miły i pracowity, a nasze usposobienia bardzo się ze sobą zgadzały i nie pamiętam, ażeby kiedy, tak w nauce, jako i zabawie, dobra harmonia nasza osłabła.

O! ten drogi mój dziadzio był toczek niezrównanego rozumu i serca! Przygarnawszy Grzesia, sierotę nieszczęśliwszego nademnie, gdyż oboje rodziców już utracił, naraz spełniał dwa dobre uczynki: sierocie dawał przytułek, mnie w ciężkiej boleści wynajdował pociechę, wkładając obowiązek nauczania towarzysza; bo chociaż więcej byłem posunięty w naukach od Grzesia, zawsze musiałem się sam do wykładu przygotować, a znajdując w nim pojętnego ucznia, nauczując, sam się uczyłem.

Widzi mi się, iż dziadzio i na to dał baczność, że sam przedtém przez swój niezrównany humor i wesołość stanowił dla mnie towarzystwo, jakby dziecinne, odpowiednie mojemu wiekowi i usposobieniom; dziś zaś

po śmierci ojca znacznie sposepniał a nawet postarzał i już temu podołać nie mógł; a nareszcie i ciężka zdwojona praca około szczupłego dobra naszego już mu na to nie pozwalała. Grzes więc, a lepićj powiem, praca z nim i nauka, najbardziej się przyczyniły do uśmierzenia pierwszćj gwałtownej boleści.

Grzes, śmiało powiem, stał się dla nas prawdziwą opatrnością, bo prócz towarzystwa dla mnie, chętnie, bez żadnego przymusu, dzielił z nami pracę koło domu; nie mówię już o dziadzi, ale i matka tak go kochała, iż prawie nie robiła pomiędzy nami różnicy.

Praca nasza szła dawnym trybem i żyliśmy tak samo, jak przed powrotem ojca—jego nam tylko brakowało, a od czasu tćj smutnej straty cmentarzyk wiejski, gdzie spoczywał, stał się celem naszych pielgrzymek. Staraniem dziadzi wkoło drogićj mogliły powstał piękny wirydarzyk i wyprzedzaliśmy się wszyscy, kto z nas więcej ku ozdobie jego się przyczyni. Dziadzio własną ręką wzniośl krzyż wysoki i na zielono pomalował. Z czasem boleść nasza poczęła się zamieniać w żal spokojny i pamięć niewygasła; a dziadzio nieraz mi powiadał:

— Jeżeli co winniśmy umarłym, to nie żal bez miary i rozpacz, bo w cóżby się ten świat obrócił, gdyby każda śmierć wzniceiała w pozostałych lży nieutulone; ziemiaby się nakoniec stała jednym cmentarzem. Z porządku rzeczy jedni drugim ustąpić muszą, a jeżeli co dla umarłych zachować winni żyjący, to pamięć, która im jest najmilszą. Jeżeli Bóg pozwolił duchowi twojego ojca patrzeć na nas, rozraduje się on bez wątpienia widząc, że wypełniasz swoją powinność i przez to czcisz jego pamięć. Lecz czyliż byłoby mu przyjemnie widzieć cię oddanym rozpaczy i z ujmą twojego zdrowia i sił, we łzach tonącym?

Mądrość dziadzi, a i czas, wielki lekarz, żał on i boleść dojmującą ukoił i żyliśmy z niewygasłą pamięcią ojca, jak dawniej. Dziadzio jednak biedny, choć nie ustawał w pracy i gorliwćj opiece nad nami, jednak starzał się i posepniał coraz widoczniej, a jak to mówią, więcej miną nadrabiał.



## XVI.

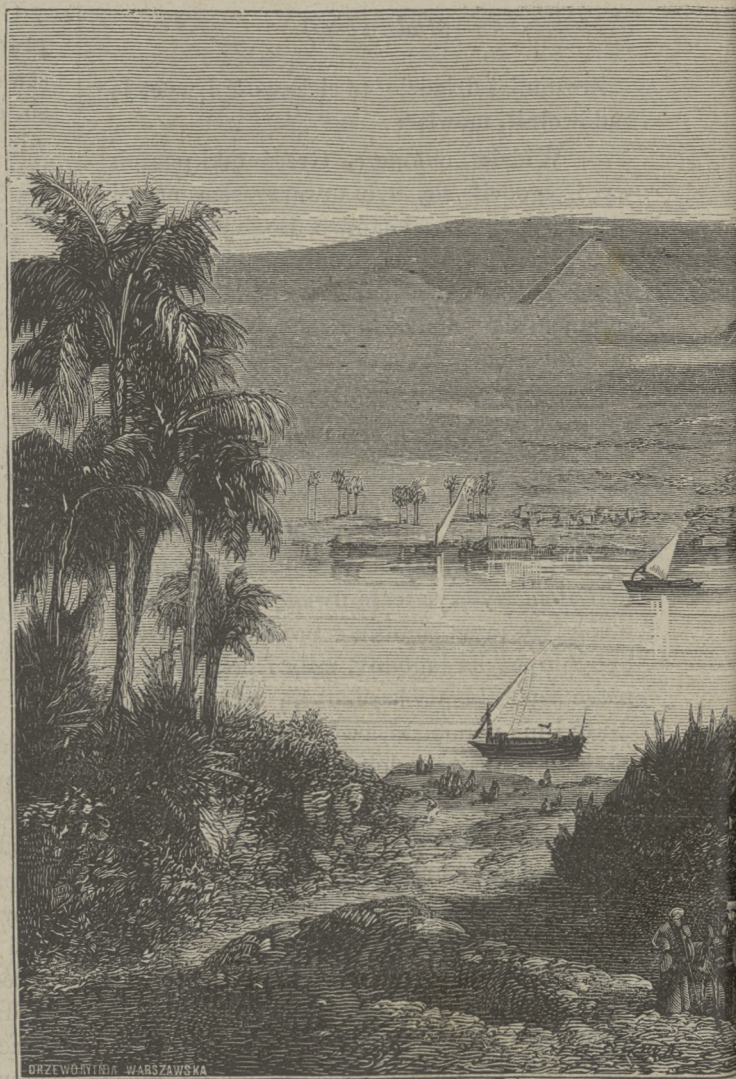
## Pocziwa.

A jeszcze zapomniałem o jednym członku naszej rodziny.—Może się uśmiechnie nie jeden, gdy powiem, że tym *członkiem*, który zrosł się z nami, jakby węzłami pokrewieństwa, była nasza krówka, tak zwana *Pocziwa*. U ludzi zamożnych jedna krowa mniej lub więcej jest liczebnym nieznanym ubytkiem lub przybytkiem, lecz u biednych, w ciasnym kółku spojonych, tulących się do jednego ogniska i jednej wspólnej pracy, krówka jest przyjaciółką, żywicielką, bogactwem— a że tak powiem nie *rzeczą* ale *osobą*. Szczególnie nasza Pocziwa było to potulne, dobre stworzenie, jak dziadzio utrzymywał, czuć, cierpieć i radować się z nami umiała, a nawet, jak powiadał, miarkowała wydatek mleka do wymagań domu i kiedy było potrzeba lub inną brakło strawy, więcej go dawała. Nadto Pocziwa była towarzyszką moich zabaw dziecinnych; kiedy ją nieraz pasłem na łączce, igraliśmy i uganiaiśmy się spolem, a lubo silniejsza odemnie, naówczas dziecka, żadnej mi nigdy krzywdy nie wyrządziła. Podczas pogrzebu ojca nieboszczyka żalosnym rykiem łzom naszym wtórowała. Nie szydźcie, powtarzam, ale zrosła się tak z nami, żeśmy ją uważali, nie za bydlę, ale za osobę należącą do rodziny. Kiedy czasem zdawała się słabszą lub posępniejszą, dziadzio ją pielęgnował, wstawiał do niej w nocy, a każdy drżał na tę myśl, aby się jej co złego nie stało.

Naraz zostaliśmy zagrożeni utratą najlepszej przyjaciółki, a to z tego powodu: z procesów prowadzonych przez nieboszczyka ojca pozostały jakieś koszta sądowe, poczęto się o nie dopominać prawnie; niebyło inne-

go sposobu zaspokojenia ich, nad przedanie *Pocziwój*.

Dziadzio, niepomierne tęp zafrasowany, szukał rozmaitych środków uniknięcia tej smutnej ostateczności, nosił do miasta swoją broń ukochaną i rozmaite pamiątki (lubo



DRZEWOYTÓR WARSZAWSKA

Brzilu.

w tajemnicy przed nami, lecz ukryć się ta jego chęć dobra nie mogła), atoli wszystko napróżno, urząd naglił o dług, nie było więc innej rady, opłakawszy Pocziwą, sprzedać ją musieliśmy.

Zjawił się jako kupiec ów zacny żyd Lejb-

ka, jedyny nasz przyjaciel i długo się wahając, nieśmiało rzekł do dziadzi:

— Ja sąd opłacam, a krowa będzie moja, tylko że ja nie mam dobrej obory, nie utrzymam jej tak starannie, więc niech do czasu zostanie u was, użytkujcie z niej... a potem...

możesz się bawić we wspaniałomyślność, boś sam obarczony liczną rodziną, na wyżywienie której ciężko pracujesz... A zresztą, Bóg wie lepiej co robi, bo nam ciężko utrzymać krowę; tylko zamawiamy sobie, abyś od czasu do czasu sprzedawał nam jej mleka, bośmy się do niego przyzwyczaili; a owszem rad jestem, że nasza „Pocziwa“ w pocziwe się ręce dostanie.

Stanęło tedy na tęp, żeśmy się tej pocziwój przyjaciółki pozbyli. Smutne to było rozstanie, zawisłem na jej karku, ucałowałem ją w różowe nozdrza. Ona ryk żalosny wydała, zdawało się, że płacze; a zazwyczaj potulna i spokojna, Lejbie wziąć się nie dała, tak że sam ją musiałem do niego odprowadzić.

Smutno nam było po stracie tej przyjaciółki, matka, przechodząc koło obórki, odwracała się ze łzą w oku, nawet sam dziadzio, pomimo wysiłku, nie mógł utaić swojego smutku, w parę dni wziął się do rozebrania obórki i tak tę rzecz usprawiedliwiał:

— A ja zawsze swoje—mówił—iż niema tego złego, co by na lepsze nie wyszło, a zresztą wszystko to od woli Bożej; Pocziwa, już niemłoda, jak na krowę, mogłaby zdechnąć, więc mniejszy żal, iż się w dobre ręce dostała; obórka zaś zasłaniała nam widok na wieś i wodę, będzie teraz weselej i więcej powietrza, zatem zdrowiej. Co zaś do nabiątu, w tęp już moja głowa, ażeby go nieza-brakło; na wygnojonym gruncie obórki założę sobie małe inspekta, z których dochód wystarczy nam na mleko i nabiak.

Nieźródlny i nienasładowany był to człek w zgadzaniu się z wolą Boską i co do zaradności we wszelkich przygodach—wistocie skorzystał z tego kawałka ziemi, którego dochód stratę materyjalną krówki powetował; przeto jednak nie przestaliśmy tęsknić

z czasem, kto wie, obaczymy, może ją zabiorę, lub oddacie mi pieniądze, kiedy będą... Czy zgoda, panie kapral?

— Wiem, żeś jest pocziwy człek, panie Lejbo—odparł dziadzio—i jeżeli od kogo, to od ciebie przyjąłbym tę grzeczność, ale nie



po naszej Pocziwój, dziadzio może najwięcej, gdyż czułem sercem silnie przylegał do ludzi i stworzeń. Może to jedno z drugiem, a praca w dodatku, przyczyniła się do tego, że dziadzio bardzo się postarzał, stracił dawny humor i rzeźwość, a lubo je na pozór okazywał, lecz znać było, iż czynił to przez moc charakteru, i wysiłek.

## XVII.

### Drugie sieroctwo.

Szło nam życie jak przedtem—skupieni przy mogile ojca, którą przyozdabialiśmy i otaczali pamięcią, pędziliśmy dni spokojne i nawet wesołe przy pracy. Ja w Grzesiu zyskałem miłego i dobrego towarzysza, równie pilnego do roboty i nauki, bo w tej wkrótce mi dorównał i już wspólnie nad sobą pracowaliśmy. Matka także się uspokoiła w żalu, a otoczona wspólnymi naszymi staraniami, stała się nieco rzeźwiejszą; a ten nasz mały i ubożuchny światek aż zanadto mi wystarczył i nie marzyłem nawet aby komuś lepiej być mogło na ziemi; prosiłem tylko Boga, ażeby nas tak na zawsze pozostawił, nie wiedziałem bowiem jeszcze i nie nauczyło mnie gorzkie doświadczenie, jak chwiejnym i nie-trwałym jest wszystko, co ludzkie i jak ciężki cios niedaleka mi przyszłość gotowała.

Można powiedzieć, iż stosownie do naszego stanu, już lepiej nam się dziać zaczynało, tak iż dziadzio zamyslał o podparciu naszej chaty, znów nieco pochylonej—zimną już sobie przygotowywał drzewo i jednego dnia, niespełna w rok po śmierci ojca, gdyż było to na początku adwentu, udał się po nie do lasu, a z kolei towarzyszył mu Grześ, bo we wszelkich wycieczkach z dziadzią, co było dla nas uroczystością, zachowywaliśmy ściśle kolej, a jeden przy matce i domu zostawał. Wyruszyli tedy dodnia i już około południa, gdy oczekując ich powrotu, byłem zajęty kręceniem powrozów na podwórku, ujrzałem Grzesia, jak sam jeden bliższą drożyną powracał. Zaniepokojony wielce, co to się stało, pobiegłem na jego spotkanie, a był blady i bardzo pomieszany, co mię niepomału zatrwożyło.

— Jasiu, biegnij zaraz do dziadzi.

— A gdzież on jest?—spytałem niespokojnie.

— Zasłabł i zatrzymał się na probostwie u O. Zacheusza.

— Uprzedzę mamę—rzekłem.

— Nie, nie, dziadzio mówił, żebym tylko ciebie jednego przyprowadził, mamie nie mówiąc.

— Na miłość Boga! powiedz, co się działo?

— Kazał powiedzieć, że nieco zasłabł—odparł Grześ, robiąc nacisk na tém słowie, a przez to dając mi do zrozumienia, że powiedział tyle, ile mu kazano, ponieważ byliśmy przyzwyczajeni do bezwarunkowego posłuszeństwa i subordynacyi niejako wojskowej; o więcej już pytać nieśmiałem i przerażony tą wieścią, z bijącym sercem, co tchu puściłem się ku probostwu, ku któremu jakieś złowieszcze gnało mię przeczucie.

Wbiegłem co rychlej do izdebki O. Zacheusza, a z niewypowiedzianą trwogą ujrzałem biednego dziadzię leżącego bezwładnie na posłaniu; musiał cierpieć wiele, wyrażały to aż nadto jasno usta posiniąle i trupia bledność twarzy—pomimo jednak cierpienia, twarz ta pocziwa zachowała zwykłą sobie pogodę i słodki wyraz. Rękę miał złamaną, całe ciało pogruchotane. Ta smutna katastrofa tak się wydarzyła: wracając z lasu z pełnym wozem drzewa, kiedy z góry pękł naszelnik na koniu, dziadzio, usiłując konia od kalectwa, a wóz od rozbicia ratować, cały ładunek na siebie przewrócił i został zgnieciony jego ciężarem.

Zaledwie ujrzałem go tak cierpiącym, rzuciłem mu się na szyję z głośnym łkaniem, on zaś jeszcze z pod całej przygniatającej go boleści uśmiech uprzejmy i słodki wydobył, a rzekł mi wprawdzie słabym głosem:

— Chłopcze, Bóg z tobą, płaczysz jakby dziecko, a nam tu trzeba pomówić statecznie, czasu zaś nie wiele zostało; komendant, twój ojciec, zawołał na mnie ztamtąd, trzeba się stawić do apelu.

— Dziadziu, czy ty chcesz umierać?—zawołałem z silniejszym jeszcze łkaniem.

Dziadzio z widocznym niezadowolaniem,



jakby mu się ten mój płacz sprzeciwiał, ciągnął dalej:

— „Chcesz umierać, chcesz umierać?” Jakby to człowiek mógł chcieć lub nie chcieć; pragnę tego, co się Najwyższemu podoba—a wiem tyle, iż chciałbym z tobą pomówić jak z kolegą i jak z człowiekiem, boć to lat jedenaście kończysz, a w twojem położeniu, mając matkę chorą i złamaną frasunkami, dzieckiem już się być nie godzi; zapewne, bogatsi mogą sobie dowoli przedłużać dzieciństwo, ale ludziom pracy, czynu i obowiązku, to nie przystało—zatem nie mamy sobie nic do powiedzenia; siądź tam w kącie i wypłacz się dowoli.

Te rozsądne słowa tak na mnie skutecznie podziałały, iż mi oczy jak cudem oschły, a chociaż może boleśniej jeszcze mi się serce ścisnęło, jednak zebrawszy całą moc ducha, zbliżyłem się do chorego i rzekłem pewnym głosem:

— Widzisz, dziadziu, już nie płaczę, ale ty nie umrzesz.

— Owóż z ciebie jest *co się zowie glans* chłopak; podajże mi teraz rękę po naszemu, po koleżeńsku—odezwał się, jakby sam nabierając siły i nie bez trudności już jedyną niezłamaną rękę do mnie wyciągnął, a dalej prawił:

— Co do mojego życia, to jak wszystko dotyczące czeka jest w ręku Boga, bez którego woli włos nam z głowy nie spada. Nim tu przyszedłeś, pożegnałem się z tym życiem za łaską O. Zacheusza, a teraz, jak żołnierz w szeregu na komendę, tak czekam spokojny na to, co mi Pan każe. Ale jeszcze chciałbym się widzieć z twoją matką—a zwracając się do Grzesia, rzekł:

— Pobiegnij, chłopaku, do chaty, a poproś panią komendantową, żeby tu przyszła... powiesz, że O. Zacheusz nie zdrów i prosi jej na chwilę do siebie—a dodał znacząco:—Tylko rozumiesz, więcej ani słowa; Bóg łaskaw wybaczy mi jeszcze ten jeden grzech do wielu innych dodany, gdyż nie chcę zatrwazać tej biednej kobiety... Śpiesz się, Grzesiu, a czy zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, dziadziu—odpowiedział Grzes i wybiegł z izby.

Skoro sami zostaliśmy, spojrzął mi w oczy:

— Tak to lubię; oczy suche, wzrok do góry, po żołniersku, *co się zowie glans*, a teraz pomówimy, jak na kolegów przystało; tyłkoż usiądź tu bliżej przy głowie, bo mi coś głos nie dopisuje, nie mógłbym w tej chwili oddać komendy.

W istocie głos mu znacznie słabł i coraz cichszym się stawał, chociaż zachował zawsze dawną jędrność i dobitność.

— Jasiu, powtarzam ci, nie masz prawa być już dzieckiem, stajesz się bowiem jedynym opiekunem i podporą matki, której życie i byt od ciebie zależy i ty za jej spokój przed Bogiem i ludźmi odpowiesz... Kochaj ją tak jak dotąd, otaczaj staraniem... Jesteś głową domu i sługą matki, obowiązek twój wielki i słodki, a do spełnienia łatwy, pozostaje ci tylko czynić wszystko, co należy i coś powinien, jak dotąd czyniłeś, a Bóg was nie opuści...

Słyszac zaś, że matka już nadchodziła, dodał śpiesznie:

— Nie wiele czasu nam zostało, bo biedną matkę trzeba oszczędzać, ona tyle już smutków przeniosła w życiu... No, a teraz parol żołnierski, Jasiu, że odtąd stajesz się człowiekiem i będziesz spełniał swą powinność... Grzesia nie opuszczaj, bo dobry chłopiec, a zrób to dla niego, co dla ciebie uczynić się starałem... to sierota!..

A chwyciwszy moją rękę, potrząsł nią silnie i słyszac głos matki, którą w sieni O. Zacheusz uspokajał, rzekł śpiesznie, kładąc palec na usta:

— Sza, chłopcze, żeby było *glans co się zowie*, bo te niewiasty słabe stworzenia...

W tej chwili matka weszła i dojrzałem, jak chory, przez nadludzki prawdziwie wysiłek, zmieniał bolesny wyraz twarzy na obojętny, a nawet wesoły i zwrócił się do matki, zdobywszy się na niezwykle w głosie spokój:

— A co, siostrzyczko—, „nosił wilk owce, ponieśli i wilka”—stłukłem się troszkę, ale to nic, przyschnie jak na psie i będzie *glans co się zowie*... a gdyby tam wypadkiem człek się nie wylizal, toż na to jest stworzony, aby kiedyś skończył.

Biedna matka zalewała się łzami.



— Ej, daj tam pokój łzom, siostruniu, jeszcze bo tak źle nie jest, a co ma być, to się stanie, a w razie gdyby... no, to ty masz syna, on w tobie ma matkę, a Bóg na niebie!... Pamiętajcie na słowa Zbawiciela, które z krzyża do matki i ucznia zwrócił: „Oto syn twój, oto twoja matka!“ Ale nim co do czego przyjdzie, jakoś mi się na sen zbiera... Przejdźcie do kuchni, a ja się przedrzemię... może O. Zacheusz będzie łaskaw po cichutku się przy mnie pomodli, to mi pomoże... to najskuteczniejsze lekarstwo.

Matka wyszła wprzód z Grzesiem—działo mię trzymał jeszcze za rękę i rzekł coraz słabszym głosem:

— Jasiu... parol!... pamiętaj!... Ale sza, *glans co się...*

Nie dokończył, na ustach położył palec, który już zastygł.

O. Zacheusz ukląkł, ja przy nim, poczęliśmy modlić się za tę szlachetną duszę. Ja patrząc na ten palec na ustach zmarłego, który jakby mi przypominał moję powinność, płakać nie śmiałem.

Chodziło już nam tylko z ojcem Zacheuszem, aby tę wieść smutną matce z oględnością oznajmić. Bolała ona srodze, lecz widząc mój spokój i rezygnacyą, z jaką cios ten ciężki przenosiłem, a wszystko z łaski téj niewyczerpanej mądrości dziadzi, która mię umocniła, sama miała żal spokojniejszy i nie oddawała się rozpacz.

Siedm lat minęło od tego smutnego osierocenia, a dziś jeszcze, pomimo iż z całego serca pragnę oddać zasłużoną cześć téj niewygasłej pamięci—jest to nad moje siły, bo teraz ły, niegdyś przez niego wstrzymane, którym w spokoju dzisiejszym dać mogę wolę, pisać mi przeszkadzają...

Pogrzeb dziadzi odbył się z mniejszą solennością, niż mego ojca, nie było bowiem komu zarządzić tym obchodem, zgromadzić wiarusów, zaledwie czterech bliższych się zebrało, aby te zacne zwłoki złożyć na wieczny spoczynek.

Na wiosnę zazieleniły się naszym staraniem, jedna obok drugiej, dwie mogiły i stały się dla nas jakby wskazówkami i przewodniczkami w dalszém życiu, w spełnianiu wzajemnych względem siebie obowiązków.

## XVIII.

### Palec na skrzepłych ustach.

Po tém powtórném sieroctwie, pozbawiony serdecznej opieki i rad zbawiennych mądrego przewodnika, uczułem się jakby człowiek zbłąkany w puszczy, z której wydostać się nie może. Odrazu dał mi się uczuć brak głowy i rąk, które kierowały tą naszą małą łódką i zadawałem sobie pytanie: Co *począć?*—mimowoli ły, tak naganione przez dziadzie, z oczów mi się dobywały, a choć dla ukrycia ich przed matką, zwykle w kącie się chowałem—jednak zawsze przed oczyma stawał mi ów palec dziadzi na ustach, a osuszał mi oczy i do czynu pobudzał, i był mi nadal aż do tego czasu przewodnikiem we wszelkich wątpliwych okolicznościach życia.

Gdyby kiedy, przez traf nieprzewidziany, to moje pisanie wpadło w ręce moich rówieśników, a natrafiło na takich, którym nie-mądrzy ludzie, nierozsądne piastunki nabiły głowy wymysłami o upiorach, strachach lub umarłych chodzących po świecie—boleję szczerze nad tą ich ciemnotą i grubą niewiedomością. Zamiast przechowania w pamięci tak zalet, dobroci, jako i powierzchownych rysów drogich zmarłych, oni przemieniają ich w jakieś wałęsające się po świecie straszidła, w które wiary zdrowy rozum zabrania, a kościół św. jako gusła i zabobony, mieni być grzechem i potępią. (d. c. n.)

## NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

Władysław Nowicki.

(*Ciąg dalszy.*)

— Tylko węgielnica pokaże, czy boki drzewa dobrze się w kącie zchodzą, czy są prostopadłe do siebie, czy brzegi drzewa są równoległe, czy się nie odchylają od siebie, czy jeden nie idzie do lasa, a drugi do Sasa.



A jak położymy podwalinę, to zaraz stawiamy na nią gruntwę.

Tu pokazał deseczkę trójkątną, z gałką ołowianą na nitce.

— Jeżeli ta gałeczka odchyła się choć trochę od swego miejsca, to znać zaraz, że przycies z jednego końca jest wyżej, a z drugiego niżej; musimy dopóty ją posuwać, podnosić, poprawiać, aż musi być zupełnie równo, poziomo, wtedy gałeczka prościuchno wisi, nitka idzie po tej linii. A jak słupy stawiamy lub ścianę wznosimy, to musimy wymierzać, żeby się nic na bok niepochyłała, boby się mogła przewrócić, tak właśnie jak człowiek, kiedy straci równowagę. Do tego wymierzania służy *pion*.

Pokazał kawałek żelaza, wiszącego na sznurku.

— Jakaś ten słup wstawiali w otwór, wydłubany w przyciesi, tośmy musieli poprawiać go, zakliniać, podkładać dopóty, aż stanął zupełnie prostopadle do przyciesi, równochno z pionem.—Przyłożył pion do słupa i pokazał, że sznurek i słup szły tuż obok siebie równolegle.—O, bo, proszę państwa,—dodał, zwracając się do Adasia—dom wybudować, to nie tak łatwo, jak domek z kart postawić, co to dmuchnąć, a przewrócić się; tu trzeba robić na moc, na długie lata. Niech państwo spojrzą na ten zrąb domu; ściany już wzniesione, powinny one być zamocowane u góry, żeby się nie rozchyłały, to też napoprzek nich zaciągamy belki; na końcach belek przejdą po obu stronach ocapy, na których spoczywać będą krokwie i dach cały. W budynku, jak w zegarku, wszystko się wiąże, jedno drugiemu pomaga.

— Ale co tu ciekawego—ciągnął dalej, gdy doszli do zrębu—dom ten będzie na podmurówce. Takąto podmurówka z kamienia dobrym jest fundamentem. Na takim fundamencie przyciesie nie gniją i dom mocno stoi. Szkoda, że państwo nie byli wtenczas, jak uroczyście zakładaliśmy *kamień węgielny* pod tę budowę.

Poprowadził gości do wnętrza budynku, gdzie mularze układali kamienie głęboko w ziemi, narzucając kielniami pomiędzy nie gliny i wapna, rozrobionego z wodą i z piaskiem.

— Tu się zakłada fundament pod komin—rzekł.

Przeszli na drugą stronę zrębu, tam był warsztat stolarski; przy nim jeden chłopiec przerzynał piłką deskę na podłużne kawałki, drugi heblował te kawałki, a stolarz robił z nich ramy do okien.

— Co tu hebli—zawołały dzieci.

— To jeszcze mało—odpowiedział stolarz—każdy z nich ma swoje przeznaczenie i nazwisko odpowiednie: ten długi nazywa się spuszcz, tamten—drapacz, ten—równiacz, ten—kątnik, a tamten znów—żłobkowiec.

Dalej zobaczyli traczy pracujących; na klocu drzewa, wyniesionym w górę nad człowieka i opartym na kozłach, stał człowiek, który wspólnie z tym, co stał pod spodem, piłował to drzewo. Odgłos piły, powtarzający się miarowo, dzieci jeszcze na wsi słyszały. Na ziemi leżały trociny, podobne trochę do grubej kaszy.

— Ci tracze—mówił cieśla—właśnie rzną deski z kłoców; z jednego takiego kłoca może być kilka bali lub kilkanaście tarcic. Podobnie, jak z jednego bochenka chleba może być kilka grubych krajanek, lub kilkanaście cienszych. Tarcice używają się na podłogi, pułapy, futryny, drzwi, okna, stoły, szafy i t. p. Robota tych traczy idzie powoli, ale są tartaki wodne lub parowe (poruszane za pomocą wody lub pary), w których się drzewo trze bardzo prędko, w których kilkanaście pił od razu cały kloc na cienkie tarcice piluje. Tamten dom, gdzie łaty przybijają, już na ukończeniu—ciągnął dalej—niezadługo zaczną dach pokrywać. Tam dalej jeszcze wykończają się stodoły, ale już tam nie ma nic nowego do zobaczenia.

— A czém będą dach pokrywać?—spytała Julia.

— Stodoły i wszystkie wiejskie budynki pokrywają się słomą—odpowiedział cieśla—ubogiego kmiotka stać za ledwie na słomianą strzechę. Co innego panowie, ci każą sobie budować piękne domy, obszerne gmachy, wspaniałe pałace, letnie wille, ogrodowe altany; takięto budynki pokrywają się blachą, dachówką, tekturą smołowcową. A jakięto tam dachy przeróżne! Nie takie zwyczajne



dwuokapowe jak ten oto, albo jednookapowe (pulpitowe) jak na tamtęj obórcie,—ale dachy łukowe, wieżowe, mansardowe.

— Co to znaczą dachy mansardowe?—zapytała Zosia.

— Tak się nazywają od ich wynalazcy—odrzekł ojciec—widziałś taki dach w Warszawie na pałacu Kronenberga naprzeciwko ewangelickiego kościoła, a także na nowym domu na rogu ulicy Marszałkowskiej i Chmielnej. Wiesz zapewne, co znaczą poddasze, (strych, facyatka), jestto mieszkanie pod samym dachem; w takim zaś domu nazywa się ono inaczej—mansarda.

— Bo proszę państwa—ciągnął dalej cieśla—człowiek już nie z jednego pieca chleb jadał i było się na wozie i pod wozem, robiło się i w wielkich miastach i w ubogich wioskach. Ten panicz—dodał, wskazując na Adasia—będzie kiedyś wielkie domy budował, bo się tak pilnie wszystkiemu przypatruje; tylko nie takie liehe chałupy, ale wielkie kamienice, co na samo rusztowanie do nich wyjdzie więcej drzewa, niż tutaj na te wszystkie budynki. Murowanego domu cieśla nie postawi, tylko mularze wymurują. Całą robotą rządzi budowniczy, który wprzód wyrysuje wszystko, obrachuje naprzód i dopiero pod jego rozkazami pracują: cieśle, mularze, stolarze, ślusarze, malarze, sztukatorzy, kamieniarze i wielu innych rzemieślników.

Rodzice bardzo grzecznie podziękowali cieśli za objaśnienia, przepraszając go za czas stracony i skierowali się ku domowi. W drodze siostry żartowały z przyszłego zawodu Adasia, prosząc go, aby najprzód wybudował w ogrodzie w Brzozówce kiosk chiński albo altankę, następnie aby dla Kuliwiniej i Marysi postawił domek z ogródkiem.

(d. c. n.)

## ANEKDOTY HISTORYCZNE

z Waleryusza Maksyma.

Żywe przykłady niektórych przymiotów charakteru.

(Ciąg dalszy).

O p o j e d n a n i u.

W wielu a świetnych przykładach okazawszy cnotę umiarkowania, przedstawmy ten

szlachetny zwrot duszy ludzkiej od nienawiści do życzliwości, a niechże styl nasz radością tchnie przy tym opisie. Bo jeżeli miłe na oku czyni wrażenie cisza morska po nawałnicy, pogoda niebios po chmurach, jeżeli największą rozkosz przynosi pokój zamykający wojnę: toć i zamknięcie wzajemnych nieprzyjaźni słowem błogością tchnącym wystawiać należy.

M. Emiliusz Lepidus, konsul dwukrotnie i kapłan najwyższy, powagą życia dorównujący dostojności piastowanych urzędów, długie miewał i gwałtowne zajścia z Fulwiuszem Flakkiem, mężem podobnegoż znaczenia. Lecz, kiedy razem wybrani zostali cenzorami, zaraz na polu Marsowém złożył on wszelkie urazy, sądząc, że prywatne nienawiści nie powinny różnić obywateli, których wola narodu połączyła na jednym z najwyższych urzędów publicznych. To zdanie jego umysłu i społeczny mu wiek wielbił, i nam je dawni dziejopisowie ku uwielbieniu podali.

Nie chcieli też oni potomków pozbawiać wiadomości o szlachetnej radzie, jaką dał Liwiusz Salinator swemu nieprzyjacielowi dla zaniechania zwad. Lubo on, głównie Nerona zeznaniami pogiębiony, z gorącą ku niemu nienawiścią wyszedł na wygnanie, jednakże, gdy go ztamtąd obywatele odwołali i razem z Neronem w godności konsulowskiej zatwierdzili, potrafił i nad charakterem swym z natury bardzo gwałtownym zapanować, i na srogą krzywdę, jaką poniósł, nie pamiętać. Obawiał się, iżby wnosząc ducha niezgody do wspólnej władzy i nieprześląganym pozostając, nie podrwił w spełnianiu obowiązków konsula. To jego zwrócenie się do uczuć spokojniejszych, w ciężkich i niebezpiecznych czasach bardzo zbawienném było dla Rzymu i Italii; albowiem zgodną energią rozwijając, obaj konsulowie zmoogli straszną potęgę Kartagów.

Piękny także przykład złożonych nieprzyjaźni dają nam starszy Scypio Afrykański i Tyberyusz Grachus, którzy do stołu świątobliwej biesiady zasiadłszy, wzajemną ku sobie pałając nienawiścią, wstali odeń połączeni przyjaźnią i przymierzem. Nie poprzestając nawet Scypio na pogodzeniu się z Tybe-



ryuszem przy biesiadzie Jowiszowój, za sprawą senatu, tamże córkę swą Kornelią za żonę mu oddał.

Była też ta cnota jednym z głównych przymiotów charakteru Cyncerona. On to z wielkim zapalem bronił obwinionego o zdrzstw publiczne Aula Gabiniusza, który konsulem będąc z Rzymu go wygnał.

On też dwukrotnie podczas rozpraw sądowych podejmował obronę P. Vatiniusza, który zawsze okazywał się nieprzychylnym jego wyniesieniu. Nikt go jednak przez to o lekkomyślność nie posądził, ale przeciwnie, za chlubę mu to powszechnie poczytywano; nierównie bowiem piękniej jest dobrodziejstwem niesprawiedliwość cudzą zwyciężać, niż się uporczywą odwzajemniać nienawiścią.

### Wstrzemięźliwość i powściągliwość.

Wielkiego starania i gorliwości przyłożył wypadła do przypomnienia, jak dalece znakomici mężowie, kierując się rozumem i zastanowieniem, potrafili serca swe ustrzedz od napadów rozpusty i chciwości. To pewna bowiem, że taka tylko rodzina, taka społeczność, takie państwo, wiekuistą obiecywać może sobie trwałość, gdzie uciechy zmysłowe i chciwość grosza najmniej zdobędą sobie gruntu. Gdziekolwiek zaś wtargną te dwie najcięższe rodu ludzkiego plagi, tam zaraz zapanowyywa sromota, srożą się krzywdy. Odbiegnijmy opodal od podobnego widoku: przypomnijmy raczej obyczaje przeciwne tym tak niszczącym występkom.

Zajmijmy się teraz wyłącznie ludźmi, których umysł nie zwracał się nigdy ku pieniądzm, jako ku rzeczom mającym jakikolwiek powab.

Kajus Marcyusz, młody patrycyusz, znakomity potomek króla Ankusa, któremu zdobycie Korioli, stolicy Wolsków, przydomek Koryolana zjednało, odznaczył się tak świetną walecznością czynami, że go konsul Postumus Cominius w obec całego wojska uczył mową pochwalną. Ofiarowano mu przytęm, oprócz rozmaitych darów wojskowych, sto morgów pola, dziesięciu niewolników do wyboru, tyleż koni z rzędem, stado złożone ze stu wołów, i srebra tyle, ileby mógł unieść. On jednak z tego wszystkiego

nie przyjął nic, oprócz wolności niewolnika, którego niegdyś był gościem, i bojowego konia. Patrząc na tak oględną bezinteresowność, sam nie wiesz, czy większa mu chwała ztąd, że zasłużył na takie nagrody, czy że je odrzucił.

Najdokładniejszy wstrzemięźliwości rzymskiej wzór, a zarazem przykład najświetniejszy mężstwa, Markus Kuryusz, przedstawił się posłom Samnickim w taki sposób, iż siedział na wiejskiej prostej ławie przy ognisku i spożywał wieczerzę w drewnianej miseczce, świadcząc o wykwinności potrawy.

Samnitowie dziwili się jego ubóstwu, on bogactwami ich wzgardził. Przynieśli mu ogromną wagę złota, jako publiczny dar i o przyjęcie go prosili uprzejmymi słowy. Ale on z uśmiechem na twarzy odezwał się na to:

— Wykonawcy daremnego, że nie powiem, niedorzecznego poselstwa,—powiedziecie Samnitom, że Marek Kuryusz woli bogatym rozkazywać, niż sam się bogacić. Odniescie ten dar, jakkolwiek drogocenny, ale na zgubę wymyślony ludzką, i pamiętajcie to sobie, że mnie ani w boju zwyciężyć, ani pieniędzmi przekupić nie można.

Tenże sam Kuryusz, po wygnaniu Pyrrusa z Italii, nie dla siebie nie wziął z królewskiego łupu, którym z bogacił wojsko i kraj. Kiedy zaś senat po siedm morgów ziemi wyznaczał ludowi, a jemu aż pięćdziesiąt wydzielił, Kuryusz odmówił działu wyższego nad miarę, wyznaczoną dla ogółu, utrzymując, że lichy to jest obywatel kraju, który nie umie poprzestać na równym ze wszystkimi udziale dóbr.

Takich samych przekonań był i Fabrycyusz Liscinus, dostojenstwem i powagą wyższy nad wszystkich współczesnych mu obywateli kraju, mieniem równy najuboższemu. Samnitom, którzy przysłali mu dziesięć funtów miedzi, pięć funtów srebra i tyleż niewolników, wszystko to napowrót do Samnium odesłał. Dzięki wstrzemięźliwości swej, bogatym był bez pieniędzy, bez pomocy niewolników doskonale obsłużonym; gdyż za możnym czynił go nie majątek, ale skromność życzeń. Dom więc jego, lubo próżen miedzi, złota i Samnickich sług, pełen był atoli chwały, pochodzącej ze wzgardy tych dóbr.

(d. c. n.)



## Z a g a d k a.

Stoi wojsko na kwaterach,  
Napisz mi to w dwóch literach,

Zadanie konikowe. (M. J.)

kuj	ne	elot	siaj	la	alo	ty	cznie
ta	chenu	dzię	uro	nych	świe	ple	
esar	cie	dzi	et	prze	to	śli	to
ra	kil	na	po	ku	ucz	to	cie
bo	to	at	cia	po	ty	ty	
dzi	nie	gu	ci	ślo	to	le	ni
choć	to	ci	ko	dzie	wró	jak	sło
świe	już	świe	za	to	ucz	po	ci

Łamigłówka głoskowa. (Wład. J.)

Z głoską S przedmiot skórzany,  
Z głoską L służy do spajania,  
Z głoską M roślina,  
Z głoską R zwierzę.

Łamigłówka liczbowa. (M. Fl.)

Z dziesięciu liter: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9,  
10, nazwisko poety polskiego. Przystawia-  
jąc litery otrzymamy:

- 7, 2, 3, 4, taniec,
- 4, 2, 3, miare,
- 4, 5, 6, 8, 10, naród słowiański,
- 8, 5, 2, 3, okrycie,
- 7, 10, 3, 9, zwierzę,
- 6, 7, 2, imię,
- 3, 6, 7, zwierzę drapieżne,
- 1, 10, 6, 4, 5, zbroję,
- 3, 10, 8, zwierzę,
- 4, 10, 8, drzewo,
- 1, 2, 9, roślinę zielną,
- 6, 3, 9, 10, futro.

## Rozwiązania do N-ru 36.

## Sztuczki:

W połowie całej sumy pozostała liczba zamysłona przez Jasia i połowa liczby dodanej przez Antosia. Gdy więc Jaś odjął swoją liczbę, nie mogło mu zostać, ani więcej, ani mniej, tylko 4. Gdyby Antos był dodał 12, byłoby zostało 6 i t. d. zawsze połowa.

Łamigłówki kryształowej:

Z  
R A K  
H A L K A  
Z A L E S K I  
L A S K A  
O K A  
I

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Marylce M. w Ostrowie. Nie chcemy, ażeby kochana nasza korespondentka, która z utęsknieniem wygląda swojego Pisemka, miała uciepieć na tem, że jej się parę N-rów zatraciło; tem bardziej, jeśli to nastąpiło nie przez nieporządek lub niedbalstwo, ale tylko dla tego, że je uprzejmie komuś dała do czytania. Wysłaliśmy więc bezpłatnie wszystkie brakujące N-ra Wieczorów i prosimy o wiadomość czy szczęśliwie doszły.

Mani G. w Wiązówku. Dziękujemy za łamigłówki; są bardzo dobre i będą drukowane w Wieczorach, jak tylko koleją na nie przyjdzie. Z wielką przyjemnością odczytaliśmy liścik, w którym tyle jest dla nas pochlebnych rzeczy.

P. Wandalinowi Cz. Nadesłane łamigłówki zamieścilibyśmy chętnie, gdyby nie kilka drobnych usterek; spróbujemy jednak na to poradzić, w każdym razie trochę później.

P. F. K. w Hrub. Nie możemy zamieszczać w Pisemku naszym zadań algebraicznych, bo najpierw byłoby to wprowadzeniem całkiem nowego działu, a potem, musimy się stosować także i do młodszych naszych czytelników, którzy o podobnych zadaniach pojęcia jeszcze mieć nie mogą.

P. A. Sasowi. Szarada bardzo zręcznie ułożona; zamieścimy ją chętnie, a za nadesłanie serdecznie dziękujemy i prosimy o więcej podobnych.

Panu M. Sch. Pismo wysłane. Kop. 50 na pomnik Hoffmanowej oddaliśmy właściwą drogą.

Treść.—Ziarnka moralności, (z drzeworytem)—Krzyżyczek matczki, (wierszyk), przez Stefana z Opatówka.—To lepsze niż żywy obraz, gawędka o Kochanowskim, (dokończenie).—Kilka obrazów z podróży po Egipcie, (z drzeworytem), przez A. Dzieduszycką.—Pamiętniki Jasia przez Piotra Jakę Bykowskiego, (ciąg dalszy).—Na leńniem mieszkaniu, przez Wł. Nowickiego, (ciąg dalszy).—Anecdoty z Waleryusza Maksyma, (ciąg dalszy).—Zagadka.—Zadanie konikowe.—Łamigłówka.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku dalszy ciąg Historii Biblijnej, przez Z. Zajączkowską.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Сентября 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.